

ŁUKASZ MARCIŃCZAK

Światłocienie religijności Gustawa Herlinga-Grudzińskiego

Część II

Przysiadam na kamiennej ławce przed najpiękniejszą katedrą we Włoszech. Czy to mogłaby być ta sama „ławka”, na której – 73 lata wcześniej – Gustaw Herling-Grudziński ułożył się do snu? Miłosz, a po nim Herbert, wizytę w tej katedrze uznawali za coś wyjątkowego i pozostawili ślady tego pobytu w swojej twórczości, jednak to Herling-Grudziński dotarł tu pierwszy. Właśnie pod fasadą tej katedry pan Gustaw spędził noc (*na kamiennych ławach po przeciwnej stronie placu Katedralnego, a każde przebudzenie nasycalo mnie i znowu usypialo zamazanym nieco konturem frontonu Duomo, fasady podobnej w wiosennych ciemnościach do ogromnych kamiennych organów*), która zrobiła z niego dożywotniego czciciela włoskiej sztuki. A wewnątrz ogarnęło go niejasne, ale pozostawiające wyraźny ślad, przecucie religijnego wymiaru rzeczywistości: *To jedynie pamiętam, że w stanie odrętwienia i wewnętrznego drżenia, które nie miało nic wspólnego z przeżyciem estetycznym, wiele godzin to siedziałem, to klęczałem w Duomo, zwłaszcza w kaplicy Sądu Ostatecznego. Było w tym coś z oczyszczenia z wojny i wszystkich doświadczeń minionych sześciu lat, coś z bezgłośniejszej modlitwy o łaskę.*

W powyższym fragmencie *Portretu weneckiego* znajdziemy wiele głęboko odcisniętych tropów. Zrazu, naturalnie, niewidocznych, albowiem Herling ten utwór – osadzony w Wenecji i skoncentrowany na malarstwie portretowym – jakby tylko inkrustuje wzmianką o przelotnym pobycie w maleńkim Orvieto. Pamiętając, że w prozie artystycznej Herlinga każde wtrącenie się liczy, domyślamy się, że pisarz, swoim zwyczajem, właśnie tutaj znowu nam coś podpowiedział, jak w labiryncie zostawił kolejną strzałkę. Tym samym nagle szczególnej wagi nabiera to, gdzie Herling-Grudziński w Duomo „siedział”, czy raczej „klęczał”, a najbardziej interesujący wydaje się w tym fragmencie przysłówek „zwłaszcza”. Bo co jest vis-à-vis kaplicy Sądu Ostatecznego, znajdującej się po prawej części transeptu? Owóż naprzeciw znajdziemy kaplicę Korporału – miejsce przechowywania kwadratowego lnianego obrusa, dla uczczenia którego zbudowano tę katedrę w XIII wieku. Właśnie wtedy w niedalekiej Bolsenie podczas odprawiania mszy hostia (a więc znowu hostia!) zaczęła krwawić, a padające krople krwi zagłębiły się w korporale. Rezydujący wówczas w Orvieto papież Urban IV na cześć cudownego wydarzenia ustanowił święto Bożego Ciała i kazał wzniesć wspaniałą budowlę, gdzie do dziś pozostaje zakrwawione święte płótno¹.

¹ Warto zauważyć, że w *Drugim przyjsciu*, pierwszym podejściu do historii rzekomego Żyda-profanatora – po latach rozwiniętej w *Legendzie o nawróconym pustelniku* – głównym bohaterem uczyni Herling właśnie Urbana IV. Później zastrzegł się w rozmowie z Włodzimierzem Boleckim, że dość instrumentalnie użył postaci tego papieża, mającego jakoby przewiedzieć konsekwencje kultu hostii prowadzące do sformułowania oskarżeń o jej profanowanie – a przecież ostrze ich prawie zawsze wymierzone będzie w Żydów. Zdaniem Herlinga papież oczywiście rozumiał wagę tego cudu, łączącego odtąd nierozzerwalnie niebo i ziemię, ale antycypował też nieprzeliczoność zła, które za jego sprawą obciążą Kościół: *Bóg wie, że to jest prawda. Ja zaś, Jego namiestnik na ziemi, zakazuję wam ją rozgłaszać*. Natomiast w opowiadaniu *Portret wenecki*, w którym Herling po raz pierwszy wspominał o Orvieto, udało mu się chyba uchwycić sam załzątek rodzenia się swojej oryginalnej religijności. Otóż jako konwertyta, z poczuciem winy i kruchości dopiero co dokonanego wyboru, w katedrze znajdzie się w pułapce. Z jednej strony – w kaplicy Korporału, czyli tak naprawdę kaplicy hostii, zostanie postawiony przed Bogiem Nowego Testamentu, do którego pragnie zbliżyć się jako chrześcijanin, lecz i przed

A zatem w której kaplicy klęczał, próbując się modlić, a w której jedynie siedział i patrzył? Pytanie to może wywołać wrażenie błażej dywagacji, aczkolwiek kapitalne znaczenie miałyby rozstrzygnięcie, czy Herling „klęczał” (albo tylko siedział) przed świętym korporalem, czyli przed mistycznym znakiem, więcej: dowodem, że podczas Przeistoczenia Chrystus staje się w naszej przytomności fizycznie obecny – a trudno być rzymskim katolikiem bez uznawania, ba, bez pewności, iż podlegające transsubstancjacji ciało Chrystusa realnie istnieje w postaci hostii. Tym bardziej istotne jest to, czy tylko „siedział” w kaplicy Sądu Ostatecznego, gdzie rolę reżysera ludzkiej historii pełni szatan podszywający się pod Chrystusa.

Twarz Chrystusa będzie kontemplował aż do śmierci², lecz czy po przeżyciach gułagu i wojny mogła go nie przyciągnąć twarz szatana? A szczególnie może oblicze Antychrysta, wymalowane w kaplicy Sądu z rysami oddającymi pomieszanie męki i brutalności, ukazujące Chrystusa jakby w krzywym zwierciadle (zdumiewające, że w malowaniu tych fresków Signorellemu pomagał Fra Angelico – Brat Anielski). Wizerunek fałszywego boga o kosym spojrzeniu, któremu szatan szepce coś do ucha, potrząsnął Herbertem, zachwiał Miłoszem, Herlinga być może naznaczył.

A skoro już zdecydowaliśmy się przydawać znaczenia fizjonomice, musimy przeżyć rozczarowanie twarzą księcia ciemności, wyczuwalną w każdym opowiadaniu Herlinga-Grudzińskiego, choć ostatecznego kształtu dla niej pisarz nie znajdował. Banalna fizys rzezimieszka, pozbawiona włosów i wątpliwości, w swojej zwyczajności posunięta aż do skromności, tchnie spokojem doświadczonego łowcy. Piękny fresk zdaje się bowiem podręcznikiem mechaniki zła, w którym malarze rozpisali na wiele postaci ludzką potrzebę oparcia się na jakimś pewniku – a właśnie na tym pragnieniu szatan ufundował swoje królestwo. Tak więc Rafael rozgląda się na boki, patrzą po sobie Dante z Petrarą, nie znajdzie się pewności nawet w twarzy Krzysztofa Kolumba – w tym tłumie tylko szatan wie, co czyni. I to najzupełniej wystarcza, bo nawet gdyby oni wszyscy stanęli przed Bogiem, to tak samo jak stojąc teraz przed szatanem, nadal zadawaliby pytania, na przykład co to jest prawda, na które nie ma odpowiedzi w ludzkim języku. A zamiast prawdy najzupełniej wystarcza, jak twierdził Gombrowicz, który po katedrach nie chodził, siłą przekonywania. Demoniczność tego obrazu polega na tym, że szatan oplata tam „Chrystusa” niczym wąż bardzo czułym w gruncie rzeczy gestem, od którego robi się gorąco... A jeśli szatan potrafi podrobić czułość, miłość, a nawet świętość, gdzie są granice jego oddziaływania?³

Że o szatanie – lub ściślej: o fałszywej świętości – Herling wiedział sporo, możemy domniemywać z niecałej stronicy *Dziennika pisanego nocą*, na której pod datą dzienną (11 lipca) napisał: „Fragment (podśluchany) monologu Diabła”. Pisarz raz jeden oddał mu tu głos bezpośrednio: *Jestem zawsze tam, gdzie na oko mnie nie ma. Nie ma mnie nigdy tam, gdzie na oko jestem. Takie to trudne do zrozumienia? W świecie Herlinga, wykluczającym przypadek, zacytowanie Diabła w Dzienniku miało zapewne poświadczać realność ich spotkania. Gdzie się owo „podśluchanie” odbyło, pisarz nie mówi, jednak wiemy skądinąd, że dla księcia ciemności nie ma nic smakowitszego niż podszyć się za kogoś, kogo otacza odor sanctitis – wsunąć kopyta w habit, rogi nakryć kapeluszem kardynalskim... Przekonuje nas o tym historia*

źródłem swojego nieszczęścia. Z drugiej – w kaplicy Sądu, niosąc pamięć odrzuconej tradycji, stanie przed surowym Jahwe, z nadzieją usprawiedliwienia równie słabą niczym płomyk pełgający w ciemnym korytarzu.

² Fascynowali go fizjonomiści świętego oblicza, przede wszystkim Antonello da Messina, jakby szukający „twarzy” cierpienia i za każdym razem inaczej „komentujący” zapis męki w rysach Chrystusa; Andrea Mantegna, mierzący się z fizjologiczną prawdą udręczonego ciała martwego Chrystusa; wreszcie Piero della Francesca, odkrywający tajemnicę każni odrealnionej, gdzie Chrystus wydaje się „niedotykalny”, a Jego twarz „obojętna”.

³ W tym miejscu możemy już wyjawic nasze graniczące z pewnością przypuszczenie, że tak istotna wzmianka poświęcona Orvieto umieszczona została nieprzypadkowo właśnie w *Portrecie weneckim*. W tym utworze Herling tak naprawdę próbuje zrozumieć, na czym polega podszyte uwodzicielską mocą piękno Zła. A umieszczenie tych rozważań właśnie w Wenecji, najbardziej fantasmagorycznym miejscu na ziemi, kojarzonym ze śmiercią, a lepiej powiedzieć: z piękną śmiercią, spaja cały sens utworu, przypominającego migotliwy witraż, jakby ołowianymi klamrami.

opata w *Srebrnej szkatułce*, której bohater, modłami i dobrymi uczynkami, dopracował się u schyłku życia szacunku graniczącego ze świętością. Swą szatańską twarz objawił po śmierci, gdy znaleziono list napisany jego ręką, gdzie przyznawał się do nigdy niesłabnącej namiętności do uduszonej trzydziści lat wcześniej siostry, którą nadal uważa za swoją własność. Duchowy rozwój, a choćby tylko skrucha serca nie dotknęły tego człowieka. Potrafił wszystko udać, najwidoczniej widząc przed sobą cel dostatecznie śmiały, aby przez trzydzieści lat chodzić w masce, stale zdając się w świetle, a zawsze pozostając w mroku. Cóż może być bardziej szatańskiego niż satysfakcja, że przez tyle lat bezkarnie udawało się świętość, drwiąc z tych, których się przyciąga swoją osobą? Tak wielkie zło musi zostać ujawnione, aby do trzewi przerazić wszystkich, którzy spowiadali się szatanowi!

Czytając tę opowieść Herlinga, jakże dla niego charakterystyczną, przypominam sobie relację ks. Jana Pęziola, egzorcysty z podlubelskiej Wąwolnicy, który odmawiając przepisane modlitwy nad młodą kobietą – a robił to wyłącznie na życzenie rodziny, w przeświadczeniu, że w tym przypadku chodzi o chorobę psychiczną – raptem z jej ust usłyszał słowa: „Oto jestem!”. Nie wchodząc teraz w kwestie, jak to się dzieje, że egzorcyci mogą szatana indagować, ten doświadczony kapłan zadał wówczas złemu duchowi logiczne pytanie: „Jaki jest sens diabelskiego ujawnienia się tam, gdzie nikt się go nie spodziewał, skoro w efekcie tego spektakularnego egzorcyzmu ludzie tym bardziej zwrócą się ku Bogu?”. Usłyszał: „To nic! Miałem satysfakcję, że cierpiała”. A więc istotą szatańskiej działalności raz jeszcze okazuje się demaskacja – objawienie ogromu zła posianego w miejscu, gdzie go najmniej oczekiwano.

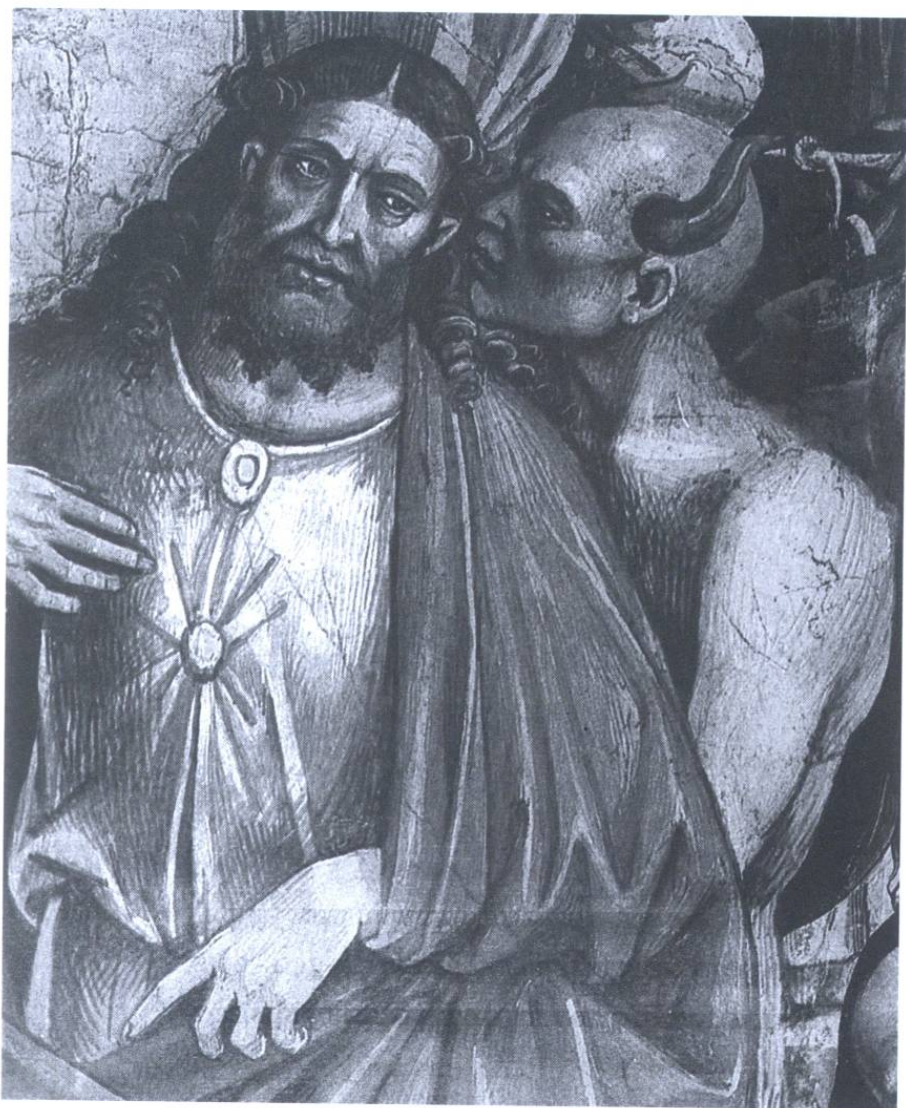
Więc obie te orwietiańskie kaplice stoją naprzeciw siebie, światło jednej miesza się z cieniem drugiej, a w rezultacie ani dobro w pełni nie błyszczy, ani zło nie całkiem odpycha. Być może Zło, ukazane w tej wspaniałej świątyni z taką siłą wyrazu i jakby na równych prawach skonfrontowane z tajemnicą eucharystii, okazało się kamieniem węgielnym myślenia Herlinga. Dlaczego nie, skoro po wielu latach prób wyplątania się z tej antynomii, na kilkanaście miesięcy przed śmiercią, pisarz pozostawi w *Dzienniku* świadectwo swoich



Luca Signorelli: *Klamstwa Antychrysta*. Fot. Wikipedia/domena publiczna

wątpliwości we wszechmoc Boga: *Dramatyczność współczesnej sytuacji polega na tym, że Zło po manichejsku immanentnie atakuje coraz śmieiej, coraz bezczelniej „suwerenność Boga”, odważa się zasiać w umysłach i duszach ludzkich wątpliwość co do swego istnienia w pozycji niższej od „suwerenności Boga”.* Czy słowa te mogą znaczyć mniej, niż mówią? Bo przecież mówią tyle, że między potęgami Światła i Ciemności istnieje równowaga, czyli podział wpływów. Być może mówią nawet więcej – szatan ma swoje dominia, dokąd Bóg nie ma dostępu. Nawet jeśli Herling „wątpliwości” tej nie podziela, a jedynie grozi czytelnikowi palcem, to wszakże nie waha się nazywać Zła immanentnym, a więc posiadającym własną substancjalność.

Słowa Herlinga to przecież swoją drogą piękna, ale też wyraźna deklaracja manicheizmu. Myśl tę sformułował pisarz w pełni dojrzały i chyba domagał się uznania jej przez Kościół. Zapewne dlatego zachnie się w *Dzienniku*, że na sesji naukowej zorganizowanej na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim przypisano mu „*manichejskie ciągoty*” jako coś wysoce zdrożnego (w stosunku do ortodoksji), jeśli nie wręcz podejrzanego. I doda (z zazdrością?): *Na manicheizm mogła sobie pozwolić Simone Weil.* Ciekawe, że osoby darzące Herlinga sympatią starały się go z tej herezji usprawiedliwiać. Arcybiskup Józef Życiński w pełnej rewerencji korespondencji z pisarzem oświadczy:



Antychryst i diabeł, fragment fresku Luki Signorellego Kłamstwa Antychrysta.
Fot. Wikipedia/domena publiczna

Zarzut manicheizmu bywa często kierowany w Pańską stronę, w mej opinii całkowicie bezpodstawnie. Ewa Bieńkowska również uzna to oskarżenie za „chyba niesłuszne”, choć znowu ona sama dostrzeże w Herlingu „skłonności apokaliptyczne”. Zaiste trudno o pisarza z równą siłą wieszczącego niepowstrzymany przypływ Zła, rozlewającego się po świecie na podobieństwo ognistej lawy, zawsze przecież pachnącej siarką! Specjalnie zatem zamieszkał w Neapolu, z Wezuwiuszem na horyzoncie, by wyczekiwać apokalipsy, zawnazawszy sobie miejsce w pierwszym rzędzie? „I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza” – sam mógłby te słowa napisać, ale dlaczego na nich poprzestaje?

Skłonności apokaliptyczne Herlinga są niewątpliwe, lecz jego – zawsze uderzająca – delectatio morosa, upodobanie do cienia, musi niepokoić. W swej osobistej „apokaliptyce” dochodzi on zawsze do momentu gniewu Bożego, zatrzymując się na kolokwialnym rozumieniu terminu „apokaliptyczny”, rozmiennianym na drobne przez rozmaite dykjonarzy – jakby rzeczywiście dusza pisarza odbierała świat jako: przeraźliwy, przerażający, zatrważający, straszliwy, złowrogi... A może w słowach św. Jana: *A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostaje zwolniony*, Herling dopatruje się jakiegoś swoistego paktu Stwórcy z szatanem? Dałoby się we wszystkich jego tekstach literackich odnaleźć pytanie – wprost nie stawia go tam nigdy – dlaczego Bóg dopuszcza zło i czy tym samym sankcjonuje jego osobną tożsamość, jego byt? Ten mądry pisarz musi przecież doskonale wiedzieć, że istotą Janowej *Apokalipsy* jest odnowienie, ostateczne obmycie świata z wszelkiego zła, przewyciężenie istniejącego w nim odwiecznie rozłamu i zaleczenie jego pęknięć, a Herling jako człowiek wydaje się właśnie pęknięty i rozdwojony. Doprawdy nie sposób nie zauważyć, że kontrapunktem tego kluczowego dla chrześcijaństwa tekstu są słowa wypowiedane przez Chrystusa: „Oto wszystko czynię nowe”. Wszakże nie możemy mieć wątpliwości, że Herling pragnie obmycia świata! Pytanie, dlaczego na razie piętrzy trudności przed Tym, którego przyjścia musi przecież wyczekiwać – i jako chrześcijanin, i jako Żyd. A może on podświadomie odwołuje się do chasydzkiej teorii stworzenia, zgodnie z którą Bóg wstrzymuje oddech, cofa się, umniejsza, aby zrobić światu miejsce. Czy Herling niejako powtarza boski gest, robiąc dla Boga miejsce w swojej literaturze: im więcej Zła, tym – paradoksalnie – więcej miejsca dla Chrystusa?

Pouczająca będzie w tym miejscu wylizanka Ewy Bieńkowskiej – skrzętnie zebrane sukcesy Diabła, które Herling przypisał mu w utworach z ostatnich lat życia: *Każde egzorcyście zgwałcić egzorcyzmowaną, doprowadza starego profesora do zabicia kochanej siostry podczas operacji, każde kazirodczemu bratu zabić ukochaną i przechwalać się tym po śmierci, nawet gdy staje się już dostojnym opatem, wciska się w Barabasa, czatuje na niewinne dziecko w rozpadlinie skalnej, popycha londyńskich chuliganów do torturowania i zadźgania kata na emeryturze, podpala Kaplicę Sykstyńską...*⁴ Czy na tym „robieniu miejsca” Chrystusowi polegał ten „manicheizm”, zawsze przez Herlinga podkreślany? Jeszcze na rok przed śmiercią nieco krotochwilnie sam siebie ochrzcił „pisarzem zła”. Bieńkowska zauważyła, że w tym samym czasie w wywiadzie określił się jako „pisarz szczęśliwy”. Dostrzegła w tym smutny paradoks: Herling jest „szczęśliwym pisarzem zła”. Zło złączone ze szczęściem, miłość spleciona z ciemnością, wiara szczipiona z niemożnością wiary – gdzie jest granica tajemnic tego pisarza?

Katedra w Orwiето wiąże się z najintymniejszym wyznaniem Herlinga-Grudzińskiego. A przecież zajmuję się religijnością pisarza, o której właściwie niczego nam nie powiedział. Zdawkowe wtrącenia mogą uchodzić za zupełnie konwencjonalne – nawet jeśli bywają szczerze i żarliwe – jak to dziennikowe z 26 września 1997 roku na wieść o zawaleniu się sklepień w asykim

⁴ E. Bieńkowska: *Pisarz i los. O twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*. Warszawa 2002, s. 64.

kościół św. Franciszka: *Z psychicznego tężca wytrąca trochę bezgłówna modlitwa. Dozwól, Boże, bym raz jeszcze mógł cały dzień chodzić po z a l e c z o n e j Bazylice w Asyżu.* Uderzające, że w podobnym kontekście (nazwijmy go próbą nawiązania kontaktu z Bogiem) modlitwa Herlinga znowu, jak ta w Orvieto, pozostaje „bezgłówna”. Czy ze względu na tę niezdolność słów chce on „zrównoważyć” diabła, któremu się uważnie przypatrzył, i którego przede wszystkim docenił – osobą Chrystusa, któremu wciąż przypatruje się taksującym spojrzeniem: jak znosi ból Ten, który tak wiele żąda, a jednocześnie obiecuje człowiekowi? Herling, milczący wobec Boga, i milczący Bóg Herlinga zdają się jednym i tym samym, bo nie trzeba być teologiem, aby wiedzieć, że wiara jest z mówienia i słuchania, a nie z patrzenia, jak pisarz nas przekonuje. Właśnie dlatego spośród niewielu uczynionych przezeń wyznań za najsmutniejsze może uchodzić to: *Bardzo często przyglądam się, jak w tej pięknej kaplicy Santa Chiara ludzie się modlą.*

Badacz Herlingowego dzieła Włodzimierz Bolecki zwrócił uwagę na niepokojące zjawisko ujawnione w przywołanym już tutaj *Don Ildebrando* – opowiadaniu o diable, które było przedmiotem dumy Herlinga, ponieważ po raz pierwszy ośmielił się on tam opisać zjawiska niewytłumaczalne (*przechodzimy przez życie z jednym okiem nadmiernie aż wyostrzonym, a drugim ślepy, zaciągniętym bielmem*). Jak zauważył Bolecki, to jedyny utwór Herlinga „niezrównoważony” – by już trzymać się tego fizycznego sformułowania – „perspektywą chrystologiczną”. Naciskany przez badacza pisarz stwierdził bez ogródek, że tym razem *zabrakło miejsca, by osobę diabła zrównoważyć osobą Chrystusa*. A przyciśnięty jeszcze bardziej, przyznał rację interlokutorowi, że finałem tego opowiadania jest wizja powszechnej zagłady, niczym niezrównoważona. Sam tę sytuację ontologiczną tak skomentuje: *Nie ma znaku Boga, jest natomiast Księżę Ciemności i* [Herling bierze to określenie od Bułhakowa – przyp. Ł.M.] *Mistrz Cierpienia*. A przecież to są – począwszy od pierwszych opowiadań, a skończywszy na ostatnich – jak gdyby dwa bieguny, pomiędzy którymi Herling porusza się w swoich literackich solilokwiach, jakby dwie szalki wagi, na które ciągle spogląda. W *Don Ildebrando* pisarz bodaj jedyny raz, chcąc nie chcąc, demonstrowało nicość swoich nadziei w zwycięstwo Dobra.

Dla Herlinga chrześcijaństwo ze swoją „perspektywą chrystologiczną” stanowi panaceum na coś immanentnego, co go dotyka, łapie za gardło, tak jak wtedy, gdy COŚ kazało mu wyskoczyć z okna (*Miałem uczucie, że przyciąga mnie ssąca przepaść pod oknem*). Dopiero ból w dłoniach desperacko zaciśniętych na klamkach żaluzji uświadomił mu, że oparł się pokusie, tak jak, trzymając się nadziei, wytrzymał w łądze. Milczący Chrystus stanowi dlań figurę, którą posługuje się jako symbolem stawiania oporu napierającemu Złu, ryczącemu niczym Bestia z Apokalipsy. Jakby to ono zdawało się bardziej rzeczywiste, a „zapory” były czymś stale tymczasowym. Czy to nie jest odwrócenie myślenia chrześcijańskiego, zgodnie z którym tylko Dobra jest realne, a Zło zawsze jakoś fantasmagoryczne?

Zdaniem Herlinga, żywiąc podobne przekonanie, zastęgliśmy w pocieszeniach nurcie kościelnego nauczania, od dawna już nieaktualnego: *Tradycyjna wizja Kościoła, związana z koncepcją zła jako nieobecnością dobra, na szczęście już się zmienia (...). Po raz pierwszy od stuleci mówi się o złu zupełnie inaczej, mówi się już o immanencji zła.* W *Don Ildebrando* pisarz wstawił nawet odnośny fragment z najnowszego wydania *Katechizmu Kościoła katolickiego*: *Zło nie jest abstrakcją, oznacza bowiem osobę – szatana, złego, anioła w walce z Bogiem.* Narrator tego opowiadania, w którego wwiertło się spojrzenie diabła – Herling-Grudziński wnikliwie opisuje tutaj szatańskie sposoby zawładnięcia ludzką duszą – raptem zaczął chorować. Wyprawia się wówczas do Porziuncoli, pustelni św. Franciszka pod Asyżem, gdzie wszystkie jego dolegliwości od razu ustępują. Uratowało go samo zbliżenie



Gustaw Herling-Grudziński na spotkaniu autorskim w Muzeum im. Józefa Czechowicza, 27 maja 1991 roku. Fot. Piotr Maciuk

się do uświęconego miejsca, a Herling, komentując to wydarzenie, wyzna Boleckiemu coś niezwykle poruszającego: „Ja się tym ratuję”.

Jednak to ciągle „równoważenie” diabła, protagonisty ludzkich dziejów, postacią Chrystusa, uświęcającego ludzkie cierpienie, nie prowadzi Herlinga, i chyba nie może, do samej istoty chrześcijaństwa, którą jest zmartwychwstały Chrystus. Czy dlatego właśnie pisarz lubił Simone Weil, przejętą w najwyższym stopniu Pasją, Męką Chrystusa, ale na zawsze, niczym pogrzebowa płaczka, pozostająca przy krzyżu, wobec tajemnicy Zmartwychwstania skamieniałą niczym Niobe? Autorka *Szaleństwa miłości* przyłgnie do Chrystusa, nie wchodząc do Kościoła i nie przyjmując chrztu w Jego imieniu – zdaje się, że Herlingowy Mistrz Cierpienia nie mógłby mieć pilniejszej uczennicy. Wyrzekła się pocieszenia, aby odarta z ciała niczym Marsjasz, przybita do krzyża niczym Mesjasz, umrzeć z głodu (zagłodziła się fizycznie, ale trudno

nie widzieć w tym symbolu samobójstwa duchowego). Herling-Grudziński francuską mistyczkę z intelektualnym sznytem nie tylko lubi, lecz także trochę podziwia. On bowiem przekroczył granicę, przed którą ona się zatrzymała, ale czy tam, gdzie ona wejść sobie zabroniła, on wszedł naprawdę?

Zajmijmy się wreszcie tajemniczymi okolicznościami przyjęcia chrztu przez Herlinga-Grudzińskiego. Co możemy powiedzieć o tym zasadniczym wydarzeniu w jego życiu? Wiadomo, że z wojskiem Andersa dotarł do Włoch w grudniu 1943 roku (napisał: „bodaj w wilię Bożego Narodzenia”) i od razu bardzo ciężko zachorował. Trzy miesiące spędził w szpitalu złożony gorączką tyfusową, aczkolwiek lekarze najwidoczniej nie potrafili rozstrzygnąć, co mu dokładnie dolega. Przed jego łóżkiem postawiono biały parawan z groźnie brzmiącym, ujętym w pytajnik słowem „Typhoid?”. Co po łacinie znaczy tyfus, lecz tam, wtedy, rozbierając rzecz nie medycznie, ale metafizycznie, oznaczało niewiadomą tycząca chyba tyleż duszy, co religijnej przynależności. Tak więc na pograniczu życia i śmierci, za tym parawanem, Herling podjął decyzję, aby przejście w nim – dokonało się. Dokument potwierdzający przyjęcie chrztu nosi datę 10 marca 1944 roku; jakieś siedemdziesiąt dni, w których musiało się zmieścić przeobrażenie. A potem nastąpiła cała seria cudów. Może nawet nie tyle cudów, ile wydarzeń znaczących, o których da się powiedzieć przynajmniej tyle, że gdyby chciało się życiu Herlinga nadać sens, to właśnie te okoliczności powinny zaistnieć, aby nie do przyjęcia stało się uznanie wszystkiego za przypadek.

O samych cudach Herling zawsze pisał powściągliwie: nie wykluczał, ale rozumem, jak czapką, przykrywał. A przecież – i przede wszystkim – po stracie ojczyzny osiadł nie gdzie indziej, lecz w Neapolu, mieście królowania cudu, gdzie zjawisko upłynniania się krwi św. Januarego zdarza się każdego roku, w określony dzień, jakby cud nabrał tam znamion przyrodniczego zjawiska. Poza tym w słowie „Neapol”, a tak samo we włoskim „Napoli”, znajdzie się więcej Polski niż w jakimkolwiek innym określeniu miejsca (Nea-pol to wręcz jakby Nowa Polska). A gdzie Herling się wychował? – pod Świętym Krzyżem. I żywił do tych okolic wielki sentyment, zawsze z czułością mówiąc o Pielgrzymie Świętokrzyskim, który zdążał przecież do Świętego Krzyża⁵ – dokładnie tak, jak robi to obolały pisarz. Właściwie nie powinno nas już dziwić, że w literackim świadectwie Herlinga pierwszym człowiekiem, którego spotkał po nawróceniu i opuszczeniu szpitala, okazał się zakonnik. Jako o wydarzeniu najoczywistszym pisarz opowiada, że przypadkowy (przypadkowy?) franciszkanin po prostu zaprowadził go do willi w Sorrento, gdzie mieszkał wtedy filozof Benedetto Croce – nie tylko najwybitniejszy w tym czasie Włoch, ale też ten sam człowiek, którego teksty jeszcze przed wojną Herling czytał po niemiecku z pewną fascynacją, zamierzając je kiedyś spolszczyć. Od razu tam na miejscu poznał najmłodszą córkę filozofa, z którą się za parę lat ożeni, a potem, tym razem już w neapolitańskiej willi Crocego, zamieszka, natomiast po śmierci... Jeśli zaufać informacjom Mariusza Wilka, który sprawę badał na miejscu, kaplica grobowa rodziny Croce od środka wygląda tak: *Trumnę z ciałem wdowy po Herlingu zamurowano w grobowcu rodziny Croce pod mężem, nad nim spoczywa jego słynny teść*. Herling zatem leży pod Crocem. Croce to po włosku „krzyż”. Skoro całe życie nie jest niczym innym jak znakiem, to znakiem był Neapol i January, znakiem był Wezuwiusz, znakiem był Croce – i znakiem są opowiadania Herlinga, który znakami posługiwał się w świecie znaków.

Aleksandra Wata, Żyda nawróconego na chrześcijaństwo, od lat piekielnie bolała głowa. Tak samo jak kiedyś Poncjusza Piłata. Gdy do prokuratora rzymskiego, daremnie zasięgającego rad u medyków, przyprowadzano żydowskiego Nauczyciela, ból w okamgnieniu ustąpił. Wobec dolegliwości

⁵ Pielgrzym Świętokrzyski – kamienna figura pielgrzyma w Nowej Słupi, według legendy co roku poruszająca się na kłęczkach o ziarnko maku w stronę klasztoru na Świętym Krzyżu. Gdy tam dotrze, nastąpi koniec świata.

Wata lekarze również bezradnie rozkładali ręce i pisarz w desperacji postanowił wetować u największego świętego swoich czasów – padre Pio. Pamiętamy, że w powieści Bułhakowa Jezua pyta Piłata, za kogo ten go uważa, natomiast w skromnym apulijskim kościele ojciec Pio pyta Wata jedynie o to, kiedy ostatnio przystępował do spowiedzi. Słyszając, że nigdy (Wat był, zdaje się, katolikiem z wyrozumowania i prawdopodobnie uznawał, że naprawdę spowiadał się Miłoszowi), zareagował gniewem i posłał poetę do diabła! Wat przypomniał sobie wówczas – zapisał bowiem relację z wizyty w San Giovanni Rotondo jednym tchem z dawnym wspomnieniem – jak będąc dzieckiem, potrafił na warszawskiej ulicy księdza, który nazwał go pogardliwie Bejlisem i, tak samo jak teraz włoski zakonnik, odepchnął. Podobne idiosynkrazje nie są jednak udziałem Herlinga – jak dla Piłata galilejski filozof pozostawał tylko Żydem, a dla Wata kapucyn ze stygmatami okazał się jedynie księdzem, tak dla Herlinga-Grudzińskiego jeden i drugi byli kimś znacznie więcej.

Herling-Grudziński, jako zasiedziały mieszkaniec Italii, tej odbytej w 1957 roku wizycie Wata niejako patronował; odwiedził autora *Dziennika bez samogłosek* w hotelu tuż po jego powrocie z San Giovanni Rotondo, zastając go



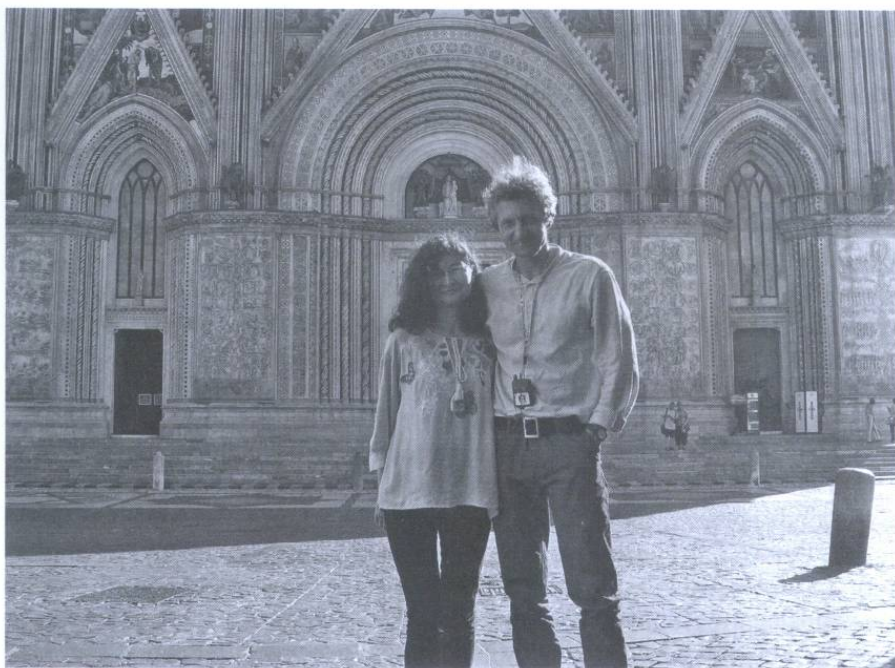
Muzeum im. Józefa Czechowicza, 27 maja 1991 roku. Fot. Piotr Maciuk

„zdruzgotanym”. I choć trochę pokpiwał ze swojego starszego przyjaciela (*nie przypuszczałem, że się do tego stopnia nawrócił*), z całą pewnością z zapartym tchem oczekiwał finału jego pielgrzymki, bo dotykała go ona w tym samym stopniu. Jednak stosunek Herlinga do szorstkiego, a jednak przyciągającego tłumy zakonnika wyjętego jakby ze średniowiecznych kronik, sprawiającego cuda i noszącego widoczne stygmaty, pozostaje niejednoznaczny. W wywiadzie-rzecz raz określa się jego admiratorem, a kiedy indziej nazywa go wiejskim proboszczem, który nie bardzo wie, co czyni; najpierw twierdzi, że w klasztornej kościele Matki Boskiej Łaskawej był tylko raz, a potem przyznaje: „Byłem wielokrotnie w San Giovanni Rotondo”. Wcale jednak nie mówi, czego tam szukał.

Po lekturze *Zjaw saraceńskich*, opowiadania napisanego 40 lat po wizycie Aleksandra Wata we Włoszech, jedno wiadomo na pewno – w międzyczasie Herling-Grudziński obejrzał sobie sławnego zakonnika z bliska (nie wiemy, z jak bliska), wprowadzając jego postać do opowiadania i każąc mu wypowiedzieć zdanie, w którym zapewne chce coś ważnego zmieścić (to znaczy schować, ale nie tak głęboko, by nie dało się znaleźć). Otóż cierpiącej na nieuleczalną chorobę bohaterce tego opowiadania, realny, ze szczegółami opisany ojciec Pio, zadaje to samo pytanie, które prawie pół wieku wcześniej postawił Watowi: o ostatnią spowiedź, a potem, nagle rozchmurzony, dodaje: „Grzech lubi chorych”. Czy Herling gdzieś to zdanie wyczytał? Bardzo prawdopodobne, w wywiadzie-rzecz z Boleckim przyznaje, że swoją fascynację (takiego słowa użył) ojcem Pio zaspokajał licznymi lekturami na jego temat, chociaż nie sposób z góry wykluczyć, że słowa te sam od niego usłyszał. Herling nie jest może okazem zdrowia, lecz z pewnością nie cielesne dolegliwości kazały mu z daleka (z jak daleka?) przypatrywać się temu zakonnikowi, jak gdyby mógł od niego czegoś oczekiwać.

Czy choroba duszy to również grzech? A jeśli nawet, to z takiego grzechu też można się wypowiedzieć, cierpiący na chorobę duszy człowiek ochrzczony chyba nawet powinien uciec się do tego sposobu. Przecież Herling zna zasady, nie chce być malowanym chrześcijaninem, od razu jednak przenosi zagadnienie tam, gdzie sam stoi, zamykając tekst niczym kluczem innym zdaniem (tym razem autorstwa Simone Weil, Żydówki): *Wielką zagadką życia ludzkiego nie jest cierpienie, ale nieszczęście*. Jak wypowiedzieć się z nieszczęścia? Można oczekiwać wyleczenia z każdego grzechu, chorobę duszy powierzyć księdzu, cierpienie zawierzyć Chrystusowi, ale nieszczęścia nie da się cofnąć, nieszczęście jest znakiem potępienia. Jak „niezatarte piętno”, gdy człowiek niewinny nosi w sobie (i na sobie) coś, czego nie uznaje. Ostatnie, niedokończone opowiadanie Herlinga mówi o tym, jak bohater faszystów zniecka okazuje się Żydem... Nie chciał (a może chciał, tylko nie zdążył?), by bohater Polaków (a był w latach 90. Herling w kraju admirowany, jak przed nim za życia jedynie Sienkiewicz i Miłosz) również okazał się Żydem?

To właśnie o padre Pio powiedział Boleckiemu, że jest o jego świętości przekonany, uzupełniając to stwierdzeniem: „Wierzę, że świętość goi bóle świata”. Czy także jego bóle potrafiłaby zaklajstrować? Wata ten święty człowiek nie uleczył, a nie miejmy złudzeń, że dla Herlinga fakt żydowskiego pochodzenia jego przyjaciela nie miał znaczenia. Poza tym czy świętość może nie wydawać się podejrzana, szczególnie dawnemu mieszkańcowi Synagogi? Zdzisław Kudelski, szukając źródła tożsamościowych uwikłań Herlinga, a przede wszystkim kłopotu z wiarą, która pisarza ratowała, ale ciągle nie wyzwalała, zwracał uwagę na *passus z Dziennika: Synagoga i „Chrestos z Nazareth” to na jednym biegunie Prawo, na drugim Miłość i Litość; na jednym Sąd i Wyrok, na drugim Cierpienie. Jeszcze w Średniowieczu, mimo całej instytucjonalnej deformacji papieżstwa, w duszy religijnej odbywał się pojedynek judeo-chrześcijański*. A jeśli ten pojedynek w duszy Herlinga nadal się dokonuje? Może w Orvieto pisarz „klęczał” przed surowym Ojcem,



Łukasz Marcińczak z żoną Anną przed katedrą w Orvieto, 29 sierpnia 2019 roku.
Fot. z archiwum autora

którego opuścił, a potem „klęczał” przed cierpiącym Synem, żywiąc nadzieję, że będzie przezeń adoptowany?

Podzwonne dla dzwonnika, ostatnie obdarzone autorskim imprimatur opowiadanie Herlinga-Grudzińskiego, nosi wszelkie cechy szczęśliwego epilogu tej twórczości, o ile uznamy, że służyła ona pisarzowi za narzędzie duchowej krystalizacji. Ocalały z pogromu żydowski chłopiec (o nazwisku Naftali, występującym – jak ustalił Włodzimierz Bolecki – w rodzinie pisarza), z przerażenia traci mowę (stale powtarzający się u Herlinga motyw „zamurowania”) i zostaje przygarnięty przez franciszkanów (*Mnie święty Franciszek po prostu wzrusza, ilekroć jestem w Asyżu i odwiedzam bazylikę, to odczuwam taki napływ emocji, że mnie ściska w gardle*). Wdziewa habit, dzwoni na mszę, przynależy do wspólnoty, ale pozostaje wśród nowych współbraci kimś obcym, do niczego niepasującym („ma tendencję do bełkotu” i „pomieszały mu się słowa w dwóch językach”). Można naturalnie uznać za uproszczenie przypisywanie Herlingowi tak daleko posuniętej autobiografizacji, jednak pisarz po raz pierwszy zdecydował się na tekst o takiej gęstości, a jednocześnie przejrzystości motywów czerpanych bezpośrednio z własnych doświadczeń. Jakby wreszcie zdołał włożyć wszystkie sensy swojego życia do jednego utworu, aby na koniec skleić z tych okruchów samego siebie. Na czym bowiem polegają swoisty genre i wyjątkowość tego pisarza? Na kreowaniu tekstów pozornie będących po prostu zapisem pewnej historii, pod spodem przemycających zawsze sens teologiczny i osobisty, a w ich ścisłym powiązaniu bije źródło tej literatury.

Dlatego wszystko, co w przywołanym opowiadaniu jest dojmująco intymne, pozostaje zarazem symboliczne. Mały Naftali nosi imię Izaak, jego rodzice – Abraham i Sara. Gdy przyjdą i podpalą ich dom, umierająca kobieta położy syna przed przywódcą bojówkarzy jakby na całopalenie, wierząc, że ten nie będzie w stanie przyjąć ofiary z dziecka – i on jej rzeczywiście nie przyjmuje. Herling ma świadomość ocierania się o teologiczną perwersję: *Hamuj się, drogi doktorze, postawienie hitlerowskiego oprawcy na miejscu Jahwe to już nawet nie bezbożność, to bogobójstwo...* Bezsprzecznie mamy tu do czynienia z biblijnym motywem ofiarowania Izaaka, która stanowi przecież

prefigurację ofiary Chrystusa, choć możemy jedynie domniemywać, dlaczego rolę Abrahama (ojca) autor powierzył kobiecie (matce). Być może Matka w geście ofiarowania zastępująca Ojca to Kościół zastępujący Synagogę? A idąc tym tropem dalej: czy w wyeksponowanym przez Herlinga obrazie Sary z rozpostartymi ramionami nad leżącym przed nią dzieckiem możemy nie dostrzec charakterystycznego dla sztuki chrześcijańskiej motywu Marii pochylonej nad Chrystusem? Choć w labiryncie znaczeń, przez który pisarz nas prowadzi, łatwo się pogubić, trudno znowu nie widzieć tutaj świadomych zabiegów Herlinga, polegających na zastępowaniu jednych postaci przez inne. A przecież na tym w gruncie rzeczy zasadza się jego robota jako pisarza. Także on sam, a może on przede wszystkim, podlega owym heurystycznym przesunięciom znaczeń.

Po raz ostatni widzimy bohatera utworu Herlinga w niewielkim włoskim miasteczku, gdzie odbywa się doroczne widowisko pasyjne. Organizatorzy cieszą się, że ukrzyżowanego Chrystusa odegra właśnie ten człowiek – uratowane kiedyś przez franciszkanów żydowskie dziecko, ochrzczone in articulo mortis (znowu jak Herling), a jednocześnie teraz już wyświęcony franciszkanin. Zgodnie z wieloletnią tradycją oczekują od człowieka mającego wcielić się w postać umęczonego Nazarejczyka, aby odegrał swą rolę z całkowitym poświęceniem. Fra Isacco (dawny Naftali nosi swe przechrzczone żydowskie imię) zmuszony jest nawet do użycia specjalnego proszku wysuszającego wargi. Następuje jednak rzecz nieoczekiwana... Przywiązany sznurami do krzyża mniszek zaczyna się uśmiechać, potem jego twarz rozjaśnia rozanielenie, a jeszcze później wręcz „delektacja”! Bohater mający uosabiać Jezusa – i dojmujące poczucie opuszczenia przez Boga – nagle odkrywa szczęście odnalezienia ojca: Boga jako udręczony Chrystus, Abrahama jako osierocony Żyd Naftali. Cierpienie całego jego życia zostaje uświęcone i wreszcie Fra Isacco znajduje sens. Jak gdyby Żyd na krzyżu w końcu poczuł się na swoim miejscu. Zgromadzeni pod krzyżem pobożni obywatele są zgorzzeni tymi teologicznymi innowacjami i przepędzają żydowskiego „aktora”: *Zdjęto szybko z Krzyża uśmiechniętego Chrystusa i dość brutalnie wypchnięto*. A może Herling znowu się trochę nami bawi? Izaak, z hebrajskiego „sachaq”, znaczy dosłownie: „zaśmiał się”. Zwróciła mi na to uwagę żona; zdaje się, że badacze przeoczyli jeszcze jeden korytarz, w którym Herling zostawił im strzałkę. Podążając za tą strzałką, dochodzimy tam, gdzie otwiera się przed nami kolejna perspektywa – na krzyżu Fra Isacco wypełnia prawdę o sobie zawartą w imieniu, które nadał mu Bóg na pamiątkę wąpiącego śmiechu Abrahama i Sary (trochę jakby „za karę”, ale równie dobrze można w tym dostrzec przyrodzone Bogu poczucie humoru). Nadanie imienia zawsze było nadaniem znaczenia, a raczej wyznaczeniem losu – czy Herling chce nam powiedzieć, że nasze wybory są ograniczone, a on jest tego najlepszym przykładem?

Są to istne wariacje biblijne i cały tekst wygrany jest na nucie najgłębiej osobistej. Nareszcie w sposób doskonale czytelny Stary Testament okazał się w tym opowiadaniu „podobrazem” Nowego Testamentu, dzięki czemu następuje zjednoczenie obu „obediencji” Herlinga-Grudzińskiego. Mieszkańca obu biblijnych krain, w żadnej jednak w pełni niezadomowionego, który odpadł od swoich, a obcy go nie przyjęli. Mieszkańca, który więcej rozumie, bo więcej cierpi. Włodzimierz Bolecki zwraca uwagę na ostatnie słowa, jakie autor każe wypowiedzieć swojemu bohaterowi, widząc w nich (jak to ładnie nazywa) urbi et orbi samego Herlinga: *Moje życie było całe prawie męką. Jej zawdzięczam wszystko. Powinniśmy widzieć w niej błogosławieństwo. Bez niej będziemy niczym. Niech dzwony biją, aby nas ostrzec przed letnim, nijakim chrześcijaństwem; i aby nas nauczyć witania męczeństwa z uśmiechem*. Cierpienie przyjęte z radością pozostaje z nami jako testament pisarza. Jakby rana, którą Herling rozdrapywał i ciągle pogłębiał, nareszcie doprowadziła

go do przebicia się na drugą stronę – nicując ciemność, mozolnie doszedł do ciemnej miłości, w końcu przecież namiastki światła. Takie, i chyba tylko takie, „zmartwychwstanie” uznał za możliwe do przyjęcia. Jego córka Marta, mówiąc o pierwszych doświadczeniach ojca w Neapolu, lub – innymi słowy – o jego duchowości, która się w tym mieście objawiła, najpierw użyje sformułowania „chiaroscuro – światło i cień”. Po chwili poprawi się: *Albo lepiej scurochiaro: najpierw cień, potem światło*.

Wejźdźmy znowu do katedry. Kiedy Herling się tu znalazł, jeszcze w wojskowym uniformie, kościół nie był tak samo oświetlony jak dzisiaj, a może to on nie zadarł głowy, by wysoko na sklepieniu dostrzec sądzącego Chrystusa. Z góry Antychryst z całą pewnością ginie w ludzkim tłumie grzeszników, natomiast widziany z dołu, z poziomu posadzki, potężnieje, skupiając na sobie całą uwagę. Stałem w tej kaplicy w wielojęzycznym tłumie, wpatrzonym w Antychrysta i w Piekło jak zahipnotyzowany. Nikt nie patrzył na Chrystusa, co prawda i dzisiaj ledwie stąd widocznego. Lecz gdyby Herling, będąc tu po raz pierwszy, od razu doszukał się Chrystusa, to może nie każący sąd rozpoznałby w tej kaplicy, ale uosobienie sprawiedliwości; i tak samo w kaplicy Korporału – w hostii może umiałby dostrzec uosobienie miłosierdzia. A przecież gdyby już wtedy to wszystko zobaczył, nie przeprowadziłby nas, czytelników, przez te wszystkie stacje, które oglądamy jego podwójnymi oczami – Żyda i chrześcijanina. Jego droga była najeżona trudnościami, szedł ostrożnie – jak jego ukochany Pielgrzym Świętokrzyski przybliżał się do wiary po ziarenku maku...

Lukasz Marcińczak

Muzeum Narodowemu w Lublinie dziękujemy za udostępnienie wykorzystanych w tekście fotografii Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Bibliografia

- Bieńkowska E.: *Pisarz i los. O twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*. Warszawa 2002.
- Bolecki W.: *Ciemna miłość. Szkice do portretu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*. Kraków 2005.
- Herling-Grudziński G., Bolecki W.: *Rozmowy w Dragoniei*. Warszawa 1997.
- Herling-Grudziński G., Bolecki W.: *Rozmowy w Neapolu*. Warszawa 2000.
- Herling-Grudziński G., Marrone T.: *Pod światło*. Kraków 1998.
- Herling-Grudziński G., Życiński J.: *Pięć dialogów*. Warszawa 1999.
- Herling-Grudziński G.: *Dziennik 1957-1958*. Kraków 2018.
- Herling-Grudziński G.: *Najkrótszy przewodnik po sobie samym*. Warszawa 2000.
- Herling-Grudziński G.: *Pisma zebrane*. Red. Z. Kudelski. T. I-XII. Warszawa 1994-2002.
- Herling-Grudziński G.: *Żywi i umarli*. Lublin 1995.
- Kudelski Z.: *Gustaw Herling-Grudziński i „Kultura” paryska. Fakty – historia – świadectwa*. Lublin 2013.
- Kudelski Z.: *Pielgrzym Świętokrzyski. Szkice o Herlingu-Grudzińskim*. Lublin 1991.
- Najkrótszy przewodnik po moim ojcu. Z Martą Herling rozmawia Magdalena Śniedziwska*. „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka” 2020, nr 38, ss. 269-283 [https://doi.org/10.14746/pspsl.2020.38.12; 11.10.2021].
- Sawicka E.: *Widok z wieży. Rozmowy z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim*. Warszawa 1997.
- Świadectwo – mit – tajemnica. O Gustawie Herlingu-Grudzińskim*. Red. Z. Kudelski. Warszawa 2019.
- Tokarska-Bakir J.: *Gustaw Herling-Grudziński i legenda o krwi, czyli czy istnieje obowiązek bycia pisarzem żydowskim*. „Studia Litteraria Historica” 2014/2015, nr 3/4, ss. 312-334.
- Wilk M.: *Bulwar Herlinga*. „Nowy Napis” 2021, nr 9, ss. 255-267.
- Wilk M.: *Polak Partenopejski*. „Nowy Napis” 2019, nr 3, ss. 143-147.